

DIAGNOZA

Alicja Horn

DIAGNOZA



Copyright © by Alicja Horn, 2022
Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo
Warszawa 2022
All rights reserved

ISBN 978-83-964687-1-0

ROZDZIAŁ 1

W tłumie wyłowił ofiarę. Blondynka w okularach przeciwsłonecznych jedną ręką trzymała poręcz, drugą zajmowała się smartfonem. Przesuwała ekran kciukiem, nie widząc świata poza tym, co wyskakiwało przed jej oczami. Telefon był drogi, jak szybko zauważył. Podobnie zresztą torebka, którą blondynka niedbale przewiesiła przez ramię tak, że dotykała jej pośladka. Daleko poza zasięgiem wzroku. To będzie łatwa robota, ocenił. W autobusie linii 175 panował tłok, jak zawsze o tej porze. Sto siedemdziesiątka piątka kursowała z lotniska, dlatego sporą część podłogi zajmowały bagaże podróżnych, ograniczając powierzchnię do stania i w naturalny sposób zmuszając pasażerów do większego ścisku. Dyskretnie skinął głową łysemu czterdziestolatkowi przy drzwiach i ruszył w stronę blondynki. Łysy dotarł przed nim i zwinnie wsunął się w mały tłumek otaczający kobietę. Niektórzy ze wstrętem zaczęli odwracać głowę – zgodnie z planem łysy najadł się przed akcją czosnku i teraz zionął smrodem, pogłębiając chaos. Mężczyzna tylko na to czekał. Sprawnie

rozpiął zapięcie wypatrzonej torebki i wsunął dłoń do środka. Na szczęście wewnątrz było prawie puste. Nienawidził bałaganiar, które trzymały w torebkach arsenał „przydasiów” – od śrubokrętu po zszywacz do papieru. I tony zużytych chusteczek higienicznych, które budziły w nim największe obrzydzenie. Wsunął dłoń głębiej, opuszki jego palców natknęły się na coś twardego. Drewno? Metal? Nie zdążył się zdziwić, gdy usłyszał cichy trzask. Równocześnie przeszył go ogromny ból, wprost nie do opisania. Krzyknął i wyjął dłoń z torebki. Była zakrwawiona. Krew cienkimi strumykami spływała w stronę nadgarstka, przykuwając jego uwagę, dlatego dopiero po chwili zauważył, że brakuje fragmentów dwóch palców – wskazującego i środkowego. Usłyszał, jak ktoś obok głośno krzyczy. Pasażerów zaczęła ogarniać panika i teraz brutalnie pchali się, byle stanąć jak najdalej od niego. Nie rozumiejąc, co się dzieje, spojrzął na blondynkę. Patrzyła mu prosto w oczy i przysięgłby, że się uśmiechała. Nie pamiętał, co było dalej, bo stracił przytomność.

* * *

Marta Wolska wysiadła z autobusu na najbliższym przystanku. Kierowca, zaalarmowany krzykami pasażerów, wyszedł ze swojej kabiny sprawdzić, co było przyczyną poruszenia. Marta wykorzystała zamieszanie, by dopchać się do drzwi i wydostać na zewnątrz.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, nawet ludzie czekający na przystanku skupieni byli na akcji wewnątrz autobusu. Spojrzała na torebkę i skrzywiła się z niesmakiem – była cała we krwi złodzieja. Zdjęła ją i wrzuciła do wielkiego kontenera ze śmieciami, obok którego właśnie przechodziła. Rozejrzała się wokół – była przy ulicy Żwirki i Wigury na wysokości Pruszkowskiej, niedaleko Pola Mokotowskiego, około czterech kilometrów od swojego mieszkania. Pomimo późnej jesieni było ciepło i słonecznie, dlatego zdecydowała, że wróci do domu piechotą, przez park. Czuła, że potrzebuje tego spaceru, żeby ochłonąć po ostatnich wydarzeniach. Nie żeby przejęła się tym, co zrobiła złodziejowi. Całą operację planowała od dawna, zresztą był to już drugi raz. Za pierwszym akcja przebiegła podobnie, tyle że tamten nie zemdlał. I stracił tylko jeden palec. Na szczęście wyciągnęła wnioski i kolejną pułapkę skonstruowała staranniej.

Wszystko zaczęło się miesiąc temu w dniu, w którym skończyła pracę po wyjątkowo ciężkim dyżurze. Była bardzo zmęczona, być może dlatego nie zachowała czujności w tramwaju, choć dobrze wiedziała, że kieszonkowcy są zmorą Warszawy. Dopiero w mieszkaniu zorientowała się, że nie ma portfela. Straciła dokumenty, karty i trochę gotówki. Ale nie to stanowiło największy problem. Karty zablokowała, a nowe dokumenty mogła

otrzymać w ciągu dwóch tygodni. Niestety, w portfelu trzymała coś jeszcze – złoty medalik, który dostała od babci i który zawsze przynosił jej szczęście. Był jej talizmanem i pamiątką po kimś, kogo dawno już przy niej nie było. Nie nosiła go na szyi – tuż przed kradzieżą uszkodziła zawieszkę i miała oddać ją do naprawy. Nie zdążyła. Po wszystkim przekleła własną opieszałość i wieczne odkładanie wszystkiego na później. Zaraz potem przyszła refleksja, że przeklinać powinna kogo innego – tego, kto naprawę zawinił. Aż wreszcie kolejna, że należałoby go ukarać. Tylko jak go odnaleźć? Policja od razu pozbawiła ją złudzeń – złapani kieszonkowcy praktycznie zawsze wychodzą na wolność. Najczęściej trudno im cokolwiek udowodnić, a jeśli nawet się uda, to ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu otrzymują śmiesznie niskie kary. Znikoma szkodliwość czynu! Wzburzyła ją ta informacja. Po wyjściu z komisariatu odwiedziła pobliski sklep z artykułami metalowymi. Kupiła w nim kilka pułapek na myszy oraz żyłkowy drut kolczasty. Plan przyszedł jej do głowy pod wpływem słów jednego z policjantów: „Osobiście uważam, że powinno im się wszystkim palce obcinać. Tak prewencyjnie. Tyle że wie pani, mnie o zdanie nikt nie pyta. Poza tym prawa człowieka”. – Skrzywił się.

W domu, na kuchennym stole, rozłożyła swoje zakupy oraz narzędzia wyjęte z szuflady w przedpokoju.

Operując obcęgami z wielką ostrożnością, by samej nie stracić palców, owinęła drut wokół metalowej ramki pułapki na myszy. Był ostry jak brzytwa. Kiedy pułapka była gotowa, nastawiła mechanizm sprężynowy i umieściła ją w pustej torebce – chciała mieć pewność, że drut zatrzaśnie się na dłoni złodzieja, a nie na jakimś zabłąkanym długopisie. W wolnym czasie, przez kilka następných dni, jeździła autobusem numer 175 na lotnisko i z powrotem. Od policjantów dowiedziała się, że jest to linia, w której do kradzieży dochodzi najczęściej, ponieważ kursuje między lotniskiem, Dworcem Centralnym i Starym Miastem, a pasażerami są często turyści, również zagraniczni. Podczas swoich przejazdów gapiła się w okno, stała w największym tłumie, trzymała torebkę poza zasięgiem wzroku, słowem – robiła wszystko, czego nie powinien robić żaden rozsądny pasażer. O dziwo, czekała dłużej, niż się tego spodziewała. Dopiero trzeciego dnia trafiła na ludzi, których szukała. Podobnie jak dziś, uważnie obserwowała całą akcję zza ciemnych okularów. Bawiło ją potajemne przekazywanie sobie sygnałów przez bandę kieszonkowców. Rozpoznała ich bez trudu i dziwiła się, że inni tego nie potrafią. Od razu dostrzegła „tycera”, który miał za zadanie wytypować ofiarę i stworzyć sztuczny tłok. Doskonale wiedziała, że zwrócił na nią uwagę, w końcu była idealnym jeleniem, proszącym

się o odstrzał. Z niecierpliwością czekała chwili, kiedy ręka „robotnika” rozsunie zamek jej torebki i sięgnie głębiej, po portfel. To był sprawdzian jej umiejętności technicznych i wprost nie mogła doczekać się wyniku. A ten był niezły, chociaż nie idealny – pierwszy złodziej stracił część palca wskazującego. To mogło zmusić go do zmiany ścieżki zawodowej. Ale nie musiało. Zawsze mógł przejść rehabilitację i nauczyć się pracować pozostałymi palcami. Dlatego zmodyfikowała mechanizm pułapek i... bingo! Dziś była świadkiem prawdziwego sukcesu. Przy dwóch uszkodzonych palcach kieszonkowiec mógł pożegnać się z dotychczasową karierą. Co prawda żałowała torebki, w końcu była droga i miała posłużyć jej nieco dłużej, ale dla uczucia satysfakcji, które właśnie ją przepełniało – było warto, uznała.

Na Polu Mokotowskim zatrzymała się przez chwilę pod wielkim kasztanowcem. Jakimś cudem o tej porze roku znalazła cztery dorodne kasztany. Schowała je do wewnętrznej kieszeni kurtki, obok komórki i portfela. Zamierzała wsadzić je do doniczki i sprawdzić, czy coś z nich wyrośnie. A jeśli tak, to czy uda się małe rośliny utrzymać przy życiu i zamienić w drzewka bonsai. Czytała o tym w jakimś poradniku, ale podchodziła do tych rewelacji sceptycznie. Z drugiej strony, nie mogła tego nie sprawdzić – co jeśli autor poradnika napisał prawdę? Posiadanie bonsai od zawsze było jej marzeniem.

Najlepiej takiego wysianego samodzielnie. Kwestia tego, gdzie bonsai miałyby rosnać, była drugorzędna, choć wszystkie parapety w jej mieszkaniu były zastawione roślinami i nawet w przybliżeniu nie była w stanie podać ich liczby. Ale kupowanie nowych odmian i rozmnażanie tych, które już miała, było jak nałóg, nie mogła się powstrzymać. Zresztą był to jej jedyny nałóg, więc nawet nie próbowała.

Myśl o drzewku bonsai odciągnęła na chwilę jej uwagę od obciętych palców kieszonkowca. Ale tylko na chwilę. Gdy wróciła pamięcią do wydarzenia sprzed kilkunastu minut, satysfakcja z zemsty ponownie przyjemnie ją rozgrzała, niczym kubek herbaty z sokiem malinowym.

Dotarła do drzwi i wsadziła klucz do zamka. Dał się przekręcić tylko raz, co oznaczało, że Michał był w środku. Znalazła go w kuchni – siedział przy drewnianym stole i pracował na laptopie. Uniósł głowę na jej widok.

– Wyjątkowo późno wróciłaś. – Przyjrzał się jej bacznie.

– Byłam u Doroty – skłamała. Miała nadzieję, że nie dowie się, co stało się dzisiaj w autobusie numer 175. Po ostatniej kłótni dokładnie chowała swój mały warsztat pułapkarski i wyciągała go tylko wtedy, gdy miała pewność, że Michał nie przyjdzie.

Michał Łazowski był policjantem, z którym spotykała się od wielu miesięcy. W ostatnich tygodniach ich związek nabrał rozpędu do tego stopnia, że teraz prawie ze sobą mieszkali. Kiedy opowiedziała mu o dłoni pierwszego kieszonkowca, Michał wpadł w szal.

– Nie możesz obcinać ludziom palców, przecież to jakiś obłąd. Naprawdę tego nie widzisz? – prawie krzyczał.

– Od kiedy to stoisz po ich stronie? Dranie dostają to, na co zasłużyli. Wiesz, ilu ludzi wpadło przez nich w kłopoty? Nie tylko finansowe. Powinno się im obcinać ręce, a nie palce! – Nie była dłużna.

– W dupie mam ich braki anatomiczne. Wkurzasz mnie, bo za dużo ryzykujesz. Co jeśli cię złapią?

– Pokaż mi paragraf, który zabrania przewożenia pułapek na myszy w środkach transportu publicznego. No pokaż!

– Zachowujesz się jak dziecko. Miałaś nie zwracać na siebie uwagi, a ty robisz coś wręcz przeciwnego. Najpierw ameba, a teraz to. Narażasz na niebezpieczeństwo wszystko, nad czym ciężko przez ostatnie lata pracowałem. Przestań!

Marta przewróciła oczami, choć dobrze wiedziała, dlaczego się tak wściekał.

Oboje byli częścią nieformalnej organizacji, która zajmowała się likwidacją niebezpiecznych przestępców,

takich, z którymi nie radził sobie system sprawiedliwości. Robili to po cichu, stwarzając pozory przypadkowości lub zgonów z przyczyn naturalnych. Michał „zwerbował” ją po akcji z seryjnym mordercą, nazwanym przez dziennikarzy „Bestią z Mokotowa”. Doskonale pamiętała jego słowa: „Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zre-socjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować – kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się... Jesteśmy porozumieniem ludzi, którzy wyleczyli się ze złudzeń, że prawo, policja i sądy są w stanie skutecznie

eliminować i rozliczać zło. Dlatego sami wymierzamy sprawiedliwość i przywracamy porządek”.

Od słów Łazowskiego nazwała członków organizacji Wyleczonymi, choć ten upierał się, by nie używać żadnych nazw – w jego opinii powinni pozostać bezimienni. I niewidzialni.

– Co słyszeć u Doroty? – Michał ciągle się jej przyglądał. Czasami miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

– Jak to u Doroty. Dziecko, pies, Leszek. Myślę, że w takiej właśnie kolejności. – Już od tygodnia nie rozmawiała z przyjaciółką, ale życie Doroty było spokojne i poukładane. A o każdej rewolucji miała w zwyczaju natychmiast ją informować. No, prawie każdej.

Michał przestał jej ufać, czuła to. Co gorsza, miał ku temu powody. Pierwszy nazywał się Daniel Schulz i był mordercą gwałcicielem, hospitalizowanym kilka miesięcy temu na jej oddziale. Marta zaraziła go śmiertelnie niebezpiecznym i rzadkim gatunkiem ameby o nazwie *Naegleria fowleri*. Tak rzadkim, że nikomu nie przyszłoby do głowy przeprowadzać badań w kierunku jego obecności w organizmie. Powód zgonu Schulza miał na zawsze pozostać tajemnicą. Taki był plan. Ale Marta zmieniła ustalenia, rozpoznając przyczynę zapalenia mózgu Schulza i pisząc na temat negleriozy artykuł naukowy. Artykuł zdobył rozgłos i sporo cytowań, przybliżając Martę do upragnionej habilitacji. Schulz,

zwany Niuchaczem, zmarł i wydawało się, że upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu. Do czasu. Pewnego dnia policja otrzymała anonim z informacją, że Niuchacz został amebą zarażony celowo przez Martę. Autor nie podawał żadnych szczegółów, zarzuty były absurdalne, a fakt, że list był niepodpisany, nie dodawał mu wiarygodności. Dlatego Michałowi łatwo przyszło zniszczenie go, bez nadawania sprawie biegu. Ale tak naprawdę oboje wiedzieli, że siedzą na minie – ktoś podejrzewał Wolską i mógł w nią uderzyć po raz kolejny. To była tylko kwestia czasu.

Teraz znowu zachowywała się nierozsądnie, obcinając palce kieszonkowcom. Jeśli jej nazwisko zacznie przewijać się w policyjnych dokumentach zbyt często, nawet Michał nie będzie w stanie jej pomóc. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie potrafiła się powstrzymać. Wymierzanie sprawiedliwości uzależniało ją jak narkotyki. Zaczęła naprawiać świat i przywracać go do pożądanego stanu. Takiego, w którym to źli boją się dobrych, a nie odwrotnie. Szkoda, że Michał tego nie rozumiał.

Podeszła do niego i przytuliła się do jego pleców. Odwrócił głowę i pocałował ją w policzek. W policzek?! Urażona zmrużyła oczy, a jej ręce zaczęły schodzić coraz niżej i niżej. Poczowała, jak jego mięśnie naprężają się pod bluzą. Zadowolona z efektu nadała dłoniom nowy kierunek. Jęknął.

– Marta, naprawdę muszę dokończyć ten syf. – Delikatnie odsunął jej dłoń i wskazał głową otwarty arkusz Excela. – Ale zostało mi już niewiele. Obiecuję, że za chwilę skończę i wyciągnę od ciebie, co tak naprawdę robiłaś. Wypróbuję na tobie moje nowe metody śledcze – ostrzegł.

– Wszystkie? – Ugryzła go delikatnie w ucho.

– Większość.

– Kajdanki też? – spytała z szelmowskim uśmiechem.

– Od tego zaczniemy – roześmiał się.

– No skoro tak, to zgoda. – Zachowała powagę i pogłaskała go po głowie. Od kiedy awansował, pracował jeszcze więcej, choć wcześniej już i tak ocierał się o pracoholizm. Nie narzekała, sama zwolniła tempo pracy dopiero kilka tygodni temu. Na dodatek w sposób wymuszony przez okoliczności.

Wzięła prysznic i otworzyła swój laptop. Tak jak się spodziewała, w skrzynce mailowej znalazła kilkanaście nowych wiadomości. Od czasu, kiedy opublikowała artykuł na temat negleriozy, jej elektroniczna skrzynka pękała w szwach. Otrzymywała e-maile nie tylko od kolegów naukowców, ale również od dziennikarzy i zwykłych ludzi, zaniepokojonych groźbą zarażenia amebą zjadającą mózg.

I nic dziwnego. *Naegleria fowleri* to pierwotniak wolno żyjący w słodkich i ciepłych wodach jezior. Do

zarażenia dochodzi wówczas, gdy pasożyt zostanie wciągnięty przez nos – zwykle przypadkowo, podczas pływania lub zabawy w wodzie. Zakażenie kończy się najczęściej śmiercią – nie istnieją leki, które mogłyby skutecznie leczyć negleriozę. Na szczęście w Polsce obecność *Naeglerii* udokumentowano wyłącznie w jeziorach w pobliżu Konina, podgrzewanych przez pobliskie elektrownie. Na dodatek nigdy nie stwierdzono żadnych zachorowań wśród ludzi. Aż do lipca tego roku, kiedy zachorował Schulz.

Miesiące poprzedzające chorobę, i w rezultacie zgon, mężczyzna spędził w więzieniu oddalonym o setki kilometrów od Konina. Dlatego wszyscy zachodzili teraz w głowę, w jaki sposób pasożyt znalazł się w jego organizmie. Rozgorzała dyskusja na temat tego, czy problem mógł być poważniejszy, niż dotąd przypuszczano, i czy pasożyt mógł zasiedlać instalacje sanitarne w domach, urzędach czy szpitalach. Marta wraz z pozostałymi współautorami artykułu otrzymała pokaźny grant na prowadzenie badań z tym związanych, ale jak dotąd, wnioski z nich płynące były bardzo optymistyczne – w żadnych z badanych miejsc nie stwierdzono obecności *Naeglerii*.

Być może wynikało to z faktu, że Schulz zaraził się *Naeglerią*, inhalując steryd donosowy z butelki, w której zawieszono były pasożyty. Umieszczone tam przez

Martę z premedytacją i specjalnie w tym celu wyłowione z Jeziora Gosławskiego.

Odpisała na wiadomości. Zdążyła również podsumować i zamknąć kolejny z raportów, dotyczący badania instalacji wodnej w jednej z dzielnic Konina. Raporty kończyła zdaniami, które zawsze brzmiały podobnie: „Nie znaleziono dowodów na obecność pasożyta *Naegleria fowleri*, ale ze względu na realne i poważne zagrożenie zdrowia i życia osób korzystających z instalacji wodno-kanalizacyjnych wskazane jest poszerzenie zakresu geograficznego badań”. Grant był całkiem przyzwoity i pozwalał jej wyrównać domowy budżet po tym, jak ograniczyła liczbę dyżurów w szpitalu. Miała nadzieję, że dzięki umiejętnemu podsycaniu poczucia zagrożenia źródło grantowe nieprędko wyschnie.

Przerwała pracę dopiero wówczas, gdy usłyszała znaczące chrząknięcie. Podniosła głowę. W progu stał Michał, huśtając kajdankami zawieszonymi na dwóch palcach. Wybuchnęła śmiechem i zamknęła komputer.

ROZDZIAŁ 2

W dyżurce lekarskiej oddziału chorób zakaźnych Warszawskiego Szpitala Klinicznego im. Wandy Błęńskiej panowała duszna atmosfera. I to bynajmniej nie jedynie za sprawą popsutych kaloryferów, których od kilku tygodni nie sposób było wyregulować.

Wszystko zaczęło się od odejścia ze szpitala doktor Zawady, która zmieniła pracę i przyjmowała teraz prywatnych pacjentów w niepublicznej przychodni. Praca i dyżury zostały rozdzielone między pozostałych lekarzy, zatrudnionych na oddziale. Oznaczało to, że pracy, której zawsze było dużo, zaczęło być jeszcze więcej. Po Zawadzie z pracy w szpitalu zrezygnował doktor Nowacki. Już dawno osiągnął wiek emerytalny i któregoś dnia po prostu oznajmił wszystkim, że ma dość wojen o to, kto weźmie którego pacjenta lub jaki dyżur, i że chce sobie wreszcie trochę pożyć. Tym sposobem pracy zrobiło się zdecydowanie za dużo.

Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy. Po wakacyjnej aferze z Volandą, lekiem stosowanym w profilaktyce zakażenia HIV, w obowiązkach ordynatora